

A woman's profile is shown in the upper right, wearing a blue hat and a pearl necklace. The background is a soft, out-of-focus green. At the bottom, a row of typewriter keys is visible, with the words 'NIEWIDOMA' and 'contessa' printed on them.

CAREY
WALLACE

NIEWIDOMA
contessa

W dniu ślubu contessy Caroliny Fantoni jeszcze tylko jeden człowiek wiedział, że grozi jej utrata wzroku, i nie był nim pan młody.

Nie znaczyło to, że nikogo nie poinformowała.

— Ślepnę — wyrzuciła z siebie z oczami nadal lśniąco od łez wywołanych ostrym zimowym słońcem, gdy wraz z matką siedziała w przyjaznym półmroku rodzowego powozu. W tym czasie jej widzenie peryferyjne już zanikło. Carolina poczuła, że matka bierze ją za rękę, ale musiała odwrócić głowę, żeby zobaczyć jej twarz. Wówczas matka pocałowała ją, odpowiadając spojrzeniem pełnym współczucia.

— Ja też kiedyś byłam zakochana — rzekła i popatrzyła w bok.



— Papo — odezwała się Carolina.

Ojciec położył szkło powiększające na rozwiniętej przed nim mapie. Spod soczewki wyłonił się posepny potwór morski. Mimo południowej pory rzędy książek za plecami ojca zasnuły się w oczach Caroliny pozornym mrokiem. Jedyne wielkie okno nad jego głową i samo biurko wciąż były jasno i wyraźnie widoczne.

— Babcia zaniewidziała przed śmiercią — mówiła dalej.

— Na długo przed tym — odrzekł ojciec, kiwając głową.
— Ale nie całkiem jej wierzyłem. Odnosiło się wrażenie, że

ma gdzieś w pudełku drugą parę oczu. Wszystko wiedziała.

— Mówiła ci, jak to się stało?

Pokręcił głową.

— Byłem wtedy bardzo młody.

— Wydaje mi się, że tracę wzrok — wyjawiała mu Carolina.

Ojciec zmarszczył brwi. Po zastanowieniu przesunął dłoń przed jej twarzą. Widząc, że powiodła za nią oczami, uśmiechnął się szeroko.

— Jeszcze nie straciłaś! — oświadczył.



Powiedziała o tym Pietrowi, gdy matka zostawiła ich na chwilę samych w ogrodzie i stali pod niebem usianym gwiazdami, które Carolina mogła zgasić albo zapalić jednym ruchem głowy.

Pietro zaniósł się śmiechem.

— Co jeszcze mi powiesz? — zapytał między pocałunkami.

— Może również umiesz latać? Albo przemienić się w kota?

— Nie wszystko widzę — dodała stanowczym tonem. — Kontury przedmiotów są zamazane.

— Zaraz się dowiem, że zapomniałaś, jak się całuje — dorzucił Pietro i pocałował ją jeszcze raz.



Z początku Carolina mierzyła swoje straty w odniesieniu do wielkości jeziora. Jej ojciec, chcąc zrobić prezent żonie na piątą rocznicę ślubu, usypał tamę na rzeczce, która wiła się przez ich posiadłość. Nie znał się jednak na tego rodzaju budowach, więc w efekcie zalał pobliskie moczary. Powstał zbiornik wodny szeroki na trzydzieści metrów i długi na czterdzieści pięć, tak płytki, że dorosły człowiek, gdziekolwiek by stanął, nie mógł się całkowicie zanurzyć. Młoda małżonka, nadal stęskniona za widokiem morza w swoich rodzinnych stronach, lojalnie towarzyszyła mężowi na przechadzce po podmokłym terenie w dniu ich rocznicy, lecz nigdy więcej nie

udała się tam z własnej woli. Wobec tego, gdy Carolina ukończyła siedem lat, jej ojciec rozstawił kamienne ławki tu i ówdzie na trawiastym brzegu, puścił oświetlone lampionami łódki na wodę i ponownie ofiarował jezioro w prezencie, teraz córce na urodziny.

Tym razem podarunek został w pełni doceniony i przyjęty z wdzięcznością, która w młodym wieku dziewczynki przybierała formę tyranii: już wtedy Carolina uwielbiała samotność i od dnia swoich siódmych urodzin domagała się, by pozwalano jej chodzić bez opieki nad jeziorem, położone kilkaset metrów od domu, za sosnowym laskiem zarośniętym pnączami. „No bo cóż innego może znaczyć posiadanie czegośkolwiek?”, pytała, dowodząc swojej racji.

Całkowicie zaskoczony takim rozumowaniem ojciec wyraził zgodę mimo złych przeczuć matki, które, przez długie lata ignorowane, w końcu przycichły, lecz po jakimś czasie zaczęły ujawniać się ponownie w formie bezsenności, roztargnienia i niewysłowionych lęków.

Odtąd codziennym zwyczajem Caroliny stało się chodzenie nad jezioro, a to srebrzyste od deszczu, czarne albo szare, a to skute lodem i klarowne lub nieprzezroczyste, zależnie od tego, jak szybko chwycił mróz. W dziesiątym roku jej życia atak zimy był błyskawiczny i brutalny, toteż jezioro zachowało po zamrożeniu swą niesamowitą przejrzystość, dzięki czemu Carolina mogła niemal w każdym miejscu zajrzeć aż na samo dno i odsłoniły się przed nią tajemnice jej wodnej posiadłości: zatopione gałęzie, zielone wodorosty, odkryte kuliste gniazda ryb i zagłębienie pierwotnego koryta, którym rzeka płynęła przed usypaniem tamy. Miotłą pożyczoną od podkuchennej Carolina odgarniała śnieg i godzinami prowadziła obserwacje, a gdy w końcu wracała do domu na obiad, jej twarz była czerwona, usta sine.

Tamtej wiosny matka Caroliny namówiła męża, żeby zbudował córce coś w rodzaju szałasów nad jeziorem. I tak parę kroków od wody stanęła jednoizbowa chatka z surowego

drewna, zabiegcowana na czerwony kolor. Światło wlewało się do środka przez oszklone okna osadzone w każdej z czterech ścian. Wytarte dywaniki pokrywały podłogę. Na skąpe umeblowanie składały się stara kanapa, zarzucona połatanymi aksamitnymi kapami, biurko i krzesło. Pokój był nieduży. Ojciec Caroliny, stojąc z wyciągniętymi rękami na środku, niemal dotykał przeciwległych ścian. U dołu wąskiego komina znajdował się otwarty kominek, osłonięty parawanem z mosiężnymi syrenami, będącym kolejnym nietrafionym, choć ofiarowanym w najlepszej intencji prezentem ojca Caroliny dla małżonki, którą wszelkie wspomnienie morza, zamiast pocieszać, tylko przygnębiało.

Po wybudowaniu chatki duży dom już nie robił na Carolinie żadnego wrażenia. Przez resztę dzieciństwa spędzała więcej nocy na kanapie w chacie niż we własnym łóżku, zagrzebana niczym czarnooka myszka polna w stosie grubych aksamitów albo naga w ciepłe wspomnień letniego słońca, pozostałych po zachodzie. W ciepłe noce otwierała szeroko okna i zawieszała w nich cienkie szale dla ochrony przed owadami. Na dworze żaby i ptaki wyśpiewywały swoje triumfy, nadzieje i groźby.

Ponieważ Carolina poznawała jezioro oczami dziecka, przez pewien czas była przekonana, że niemożność ogarnięcia go jednym spojrzeniem jest po prostu kolejną sztuczką, którą wyczynia jej ciało, w tajemniczy sposób przemieniając ją w młodą kobietę. Gdy zaczęła dorastać, zauważyła, że kościół, droga do miasta i niegdyś bezmierna przestrzeń sali balowej wyraźnie się skurczyły. Dlaczego więc jezioro miałoby się pod tym względem różnić?

Tuż po jej osiemnastych urodzinach, mniej więcej wtedy, gdy odbyły się zaręczyny z Pietrem, przedmioty na obrzeżach pola widzenia znacznie straciły na ostrości. Już nie rozpoznawała figur tanecznych, chyba że patrzyła prosto przed siebie. A przy tym obraz się zawęził, jak gdyby jakiś niewidzialny duch przyłożył dłonie do jej skroni, zasłaniając wszystko po lewej stronie i po prawej. To, co się tam

znajdowało, znikło w ciemności.



Turri oczywiście zrozumiał natychmiast. Uniósł ręce i przytknął je do twarzy po obu stronach.

— O tak? — zapytał.

Carolina kiwnęła głową.

Niebieskie oczy Turriego rozszerzyły się z niepokoju, lecz zaraz jego spojrzenie się zmieniło. Nadal patrzył jej prosto w twarz, a wzrok skupił gdzieś daleko za jej plecami, w myślach przeglądając książki w niewidocznej bibliotece. Carolina nie znosiła takiego wyrazu na jego twarzy: czasami trwało to jedną chwilę, ale często pogrążał się we własnych myślach na całe popołudnie, zupełnie ją ignorując.

Teraz jednak gromadził dalej fakty.

— Jak długo? — zapytał.

— Pół roku — odrzekła. — Od jakiegoś czasu przed Bożym Narodzeniem.

Za jedwabiami wiszącymi w oknach domku nad jeziorem krzyknął kilka razy nur i ponownie popadł w zadumę.

— Czytałem o tym — powiedział Turri. — Ślepotą może się zacząć na bokach albo na środku.

— Na środku? — powtórzyła Carolina.

— Jak postępujące zaciemnienie na środku pola widzenia. Tyle że jest trwałe. Stamtąd rozchodzi się ciemność.

— Ale w moim wypadku wzrok słabnie od zewnątrz — oświadczyła Carolina.

— To jest ten drugi rodzaj.

W jej oczach zakreśliły się łzy. Pozwoliła, żeby zamglily jej wzrok, rada, że to niedowidzenie może skorygować jednym ruchem ręki. Gdy łzy przestały płynąć, Turri siedział, spoglądając na nią jak na nowe zadanie matematyczne.

— Ile to potrwa? — zapytała.

— U każdego jest z pewnością inaczej.

Gdy nie odwróciła od niego oczu, spuścił wzrok.

— Mogę się dowiedzieć — zaproponował.

— Dziękuję.

— Mówiłaś Pietrowi?

Kiwnęła głową.

Turri przyglądał się jej jeszcze przez chwilę i parsknął krótkim śmiechem.

— Ale on nie wie.

Pokręciła głową.

Turri ujął jej rękę.

Tym razem mu pozwoliła.



Carolina i Turri poznali się, gdy ona miała sześć lat, a on szesnaście. Tamtej wiosny matka Caroliny uznała, że córka jest w odpowiednim wieku, by wziąć udział w balu cytrynowym, który jej mąż wydawał co roku, gdy w jego gaju drzewka o woskowych liściach obsypywały się kwiatami, i w ten sposób wyrażał wdzięczność coraz silniejszemu wiosennemu słońcu, świętym albo bogom, być może nadal czającym się pośród wiekowych wzgórz. Carolinie pozwolono wybrać materiał na nową suknię: turkusowy brokat przybrany białą koronką z egzotycznej i niewyobrażalnie dalekiej Szwajcarii. Kilkanaście razy Carolina spędziła popołudnie w pokoju szwaczki, gdzie w powietrzu kłębiły się lśniące drobiny kurzu i unosił się zapach lilii i bazylii, dolatujący z sąsiedniego pomieszczenia, w którym pokojówki układały w bukiety ścięte w ogrodzie kwiaty. Carolina przyglądała się z uwagą, jak ta stara kobieta cierpliwie wycina z materiału stanik i spódnicę w kształcie dzwonu, po czym zszywa je, powołując do życia malutką suknię, a igła w wykrzywionych palcach śmiga tak szybko wśród fałd materiału, że czasem znika z oczu.

Gdy kreacja była gotowa, trzy dni przed balem, Carolina zamartwiała się, czy nie umrze z radości. Stara szwaczka powiesiła swoje dzieło w szafie dziewczynki, gdzie zalane porannym słońcem lśniło niczym skrawek nieba. Przez te trzy

noce Carolina spała niespokojnie. Wiele razy wstawiała z łóżka, chcąc się upewnić za pomocą dotyku, że jej sny nie kłamią, jak to się nieraz zdarzało, i że strój wciąż wisi na swoim miejscu. Choć godzinami stała wyprostowana bez słowa skargi, gdy brano miarę, a potem dopasowywano suknię, po uszyciu nie zgodziła się jej przymierzyć, po trosze chcąc ją „oszczędzić” — tak jak „oszczędzała” cukierek, nosząc go w kieszeni aż do wieczora — i po trosze bojąc się tej niepojętej i bezsprzecznie głębokiej zmiany, jaka w niej zajdzie, gdy tylko włoży tę szatę.

Zaledwie godzinę po rozpoczęciu się tańców stwierdziła jednak, że stoi przyparta do ściany w sali balowej, zapomniana. W dusznym powietrzu unosił się przesłodzony zapach tysięcy kwiatów cytryny z gałęzi przyciętych przez ogrodników, by stare drzewka były zdrowe i obficie owocowały. Wysoko nad jej głową przyjaciele rodziców wykrzykiwali powitania i plotkowali jak najęci. Kilkoro, uściskawszy przy wejściu rękę Caroliny, zachwyciło się jej wyglądem. Niektórzy mieli nawet śmiałość pogłaskać ją po głowie. Ale potem stała zagubiona w nieprzyjaznym gąszczu nóg i szeleszczących spódnic.

Nagle zatrzymała się przed nią para nóg.

Carolina odchyliła do tyłu głowę.

Wysoki chłopiec o jasnobrązowych włosach i żywych niebieskich oczach objął ją spojrzeniem. Po chwili, ku jej zaskoczeniu, usiadł przy niej na wyfroterowanej do połysku posadzce, nie czyniąc najmniejszych starań, by ochronić eleganckie czarne spodnie przed zabrudzeniem. W tych pozycjach, on na siedząco, ona na stojąco, ich twarze znajdowały się mniej więcej na równej wysokości. Młodzieniec nie odezwał się do niej.

Carolina zebrała myśli.

— Zmęczyłeś się tańcem? — zapytała po chwili.

— Nie tańczę aż tak dobrze, żeby się zmęczyć — odparł.

Jego szczerłość zadowoliła Caroline, a logika rozumowania przypadła jej do gustu, choć sens wypowiedzi trudno było pojąć. Z powagą skinęła głową.

Młodzieniec patrzył na wirujących gości.

— Co sądzisz o tym balu? — zapytał.

Przez chwilę szukała w głowie jakiegoś finezyjnego kłamstwa, lecz powiedzenie prawdy okazało się bardziej ekscytujące.

— To mój pierwszy — wyznała, bacznie się przyglądając, jaką reakcję wzbudzi fakt tak wielkiej wagi.

Nie spotkał jej zawód. Oczy mu się rozszerzyły. Z wolna pokiwał głową, uznając, zgodnie z oczekiwaniami Caroliny, że to oświadczenie zmienia wszystko.

Nagle jego uwagę przykuł jakiś ruch wśród gości. Carolina powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem, które zatrzymało się na twarzy dziewczyny w lawendowej sukni, przepychającej się energicznie przez tłum w odległości kilku kroków od nich. Dziewczę najwyraźniej czegoś szukało. Carolinie nie wydawało się to dziwne, ale młody człowiek wciskał się ze strachu w ścianę. Gdy stawiała opór, spojrzał na Carolinę tak, jakby u niej szukał pomocy. Popatrzyła na niego ze ściągniętymi brwiami, próbując domyślić się, jaki jest powód jego kłopotów i co może dla niego zrobić.

Po chwili młodzieniec odzyskał panowanie nad sobą i poderwał się na równe nogi.

Carolina odchyliła do tyłu głowę, by zobaczyć go wyprostowanego.

Chłopiec skłonił się elegancko, mówiąc:

— Wyglądasz dziś uroczco. Jakbyś spadła z nieba. — Ujął jej małą dłoń i pocałował nisko pochylony, po czym wmieszał się w tłum.

Carolina patrzyła, jak się oddalał. Potem rzuciła się w las nogawek, tonący w chmurze ostrego dymu z cygar, i przemknęła między gośćmi zebranych wokół bufetu ze słodyczami. Tuż za nim, na narożnym stole centralne miejsce zajmowała wielka kryształowa czara jej matki, wypełniona lemoniadą cytrynową z żółtymi plasterkami pływającymi na wierzchu. Tam Carolina znów dostrzegła swego niedawnego rozmówcę. Dziewczyna w

lawendowej kreacji prowadziła go za rękę na parkiet.

Zapomniawszy na chwilę o własnej sukni, Carolina dała nura pod obrus spływający ciężkimi fałdami ze stołu. Wychynęła obok Renata, leciwego służącego. Miał nos jak rozmiękły marcepan i, jak niedawno odkryła, potrafił pleść korony z kwiatów koniczyzny.

— Renato — odezwała się stanowczym tonem, wskazując młodzieńca — kim jest ta istota prowadzona jak niegrzeczny pies?

Renato podążył wzrokiem za ruchem jej małego palca, po czym roześmiał się z lekką irytacją, jak to zazwyczaj robią dorośli wobec dziecka, od którego trudno oczekiwać rozeznania w sytuacji.

— To młody Turri — powiedział.



Niewielka tama, którą ojciec Caroliny usypał, żeby powstrzymać bieg rzeki, znajdowała się na drugim końcu jeziora. Dalej rzeka toczyła się po kamieniach przejrzystym strumieniem, który znikał w lesie i zmierzał do posiadłości Turrich, wypływając lśniąca wstążką na krańcu ogrodu za ich domem. Sam dom był niewidoczny, stał za następnym pagórkem, zwrócony frontem ku tej samej szarozłotawej drodze, przy której stał dom jej ojca.

A zatem Turri należał do najbliższych sąsiadów Caroliny. Po pierwszym spotkaniu widywała go od czasu do czasu, gdy szedł drogą. Jeśli nie spędzała dnia nad jeziorem, najbardziej lubiła przesiadywać w niszy okiennej na pierwszym piętrze domu swego ojca, skąd bacznie obserwowała okolicę. Ktokolwiek pojawiał się na drodze, miał do odegrania rolę w nieustającym i zawiłym dramacie, jaki Carolina wymyślała każdego dnia na podstawie tego, co mogła wywnioskować o przechodzących ludziach. Turri był jej ulubioną postacią w tych scenkach. Wyraźnie odstawał od niekończącego się pochodu dobrotliwych staruszek zawsze z koszami cytryn i jaj,

gdy szedł, wpatrując się w obłoki i potykając o kamienie. Kapeluszem odganiał skrzydlatych natrętów. Nagle przystawał bez powodu. Ponadto często można go było zobaczyć wyposażonego w rozmaite rekwizyty pobudzające wyobraźnię: a to drucianą klatkę z parą brązowych myszy; a to grubą świecę, która strzelała iskrami i wypuszczała parę, ale nie gasła na deszczu; a to koszyk pełen piórek, które podrywał i rozwiewał wiatr, akurat gdy Turri zniknął za pagórkiem, co wyglądało tak, jakby na skutek czarów młodzieniec przemienił się w chmurę pierza.

Do następnej rozmowy między nimi doszło, dopiero kiedy Carolina miała dziesięć lat. Dostrzegła Turriego, gdy stał w silnym słońcu przy tej samej złotawej drodze i patrzył w dół na coś, co wyglądało na płataninę damskich sukienek i kijów, przystrojonych tu i ówdzie kawałkami sznurka, takiego samego, jakim ogrodnik przywiązywał groszek pachnący do podpórek w kształcie wież.

Tego dnia Carolina prowadziła własne badania w terenie. Niedawno zauważyła, że wiele informacji, których dorośli udzielają jej na temat otaczającego świata, jest niezgodnych z prawdą. Jej matka rzadko była zmęczona — choć tak twierdziła — po prostu wolała spędzać dzień w swojej części domu, niż rozmawiać z Caroliną lub jej ojcem. Przekonawszy się o tym, dziewczynka zaczęła sprawdzać prawdziwość innych stwierdzeń. Obrzuciła stekiem podsłuchanych wyzwisk kępę niewinnych żonkili i okazało się, że wcale nie szerniał jej język. Przez tydzień spała z otrzymaną od ojca monetą pod poduszką, a potem, zachowując wszelką ostrożność, zaniosiła pieniądze nad jezioro i wrzuciła do wody, ale ze środka kręgów rozchodzących się po ciemnej powierzchni nie wyłoniła się łódź, tak jak to miało być.

Wobec tego Carolina postanowiła sprawdzić granice swego najbliższego otoczenia. Wiedziała, że droga biegnie na szczyt wzgórza i dalej do willi Turrich, obok której przechodziła ze sto razy. Natomiast w przeciwnym kierunku droga się

rozwidlała. Jedno odgałęzienie prowadziło do miasteczka, dokąd czasem Carolina udawała się z matką, żeby kupić książki albo tkaniny. Drugie wiodło do lasu jej ojca, ale ich powóz, jak pamiętała Carolina, nigdy nie skierował się w tamtą stronę. W oknie migały tylko korony drzew ocieniające trakt, który w dalszej części ostro skręcał i znikał w lesie.

— Dokąd biegnie ta droga? — zapytała Carolina kilka tygodni wcześniej, odchylając grube zasłony w powozie.

— Donikąd, kochanie — odrzekła jej matka. — Kiedyś może prowadziła do rzeki, ale teraz niczego tam nie ma.

Ta odpowiedź jedynie wzbudziła podejrzenia dziewczynki. Matka powiedziała jakiś czas temu, że niczego nie ma w szopie starego ogrodnika, a okazało się, że skarbów w niej bez liku: były tam słoiki pełne kolorowych szkiełek, brązowe kartony ozdobione rysunkami kwiatów i warzyw, stopy juty w takiej ilości, w jakiej bierze się tkaninę na suknię ślubną, oraz pajęczyny tak wielkie, że mogłoby się w nie złapać małe dziecko.

Chcąc się przekonać osobiście, dokąd wiedzie droga, Carolina ruszyła przez trawnik i dalej przez lasek na rogu ojcowskiej posiadłości, stosując metodę, którą sama wymyśliła, aby uniknąć kręcenia się w kółko po lesie, co, jak wiedziała, często przytrafia się mniej roztropnym wędrowcom. Po prostu szła od drzewa do drzewa, cały czas wybierając to, które rosło nieco na wschód, gdyż w tym kierunku jej zdaniem biegła droga. Mimo świeżo opracowanej metody postępowania oraz godnej podziwu samokontroli, z jaką opierała się pochlebstwom wielu intrygujących kwiatów, które kusily ją, by zboczyła z wybranej trasy, Carolina wyłoniła się z chaszczki, mając w polu widzenia bramę swojego domu.

Jej rozczarowanie rozwiało się niemal natychmiast, ledwie zobaczyła Turriego z jego maszyną.

— Co ona robi?! — zawołała, przedzierając się przez roczne siewki, które dzielnie zapuściły korzenie wśród spalonych słońcem traw między drogą a lasem.

Turri podniósł wzrok i przyglądał się chwilę Carolinie, po czym znów objął gniewnym spojrzeniem rozbite szczątki.

— To pułapka na anioły — wyjaśnił.

Zanim zdążyła się zastanowić, czy to jest żart, kłamstwo lub coś jeszcze innego, stos jedwabi i kijów buchnął ogniem. Wstrzymała oddech, a tymczasem jasnyniebieskie i złociste płomienie obejmowały miękkie fałdy, lizały materię, lecz jej nie strawiły. Kije zaczęły trzeszczeć, sznurek osmałił się i skręcił.

Carolina skoczyła na palące się szczątki i jak szalona zaczęła przestępować z nogi na nogę. Wystarczyło zaledwie kilka kroków tego dziwnego tańca, by ogień został zdławiony. Stojąc na resztkach maszyny, wśród smużek dymu, które unosiły się i owiewały jej nagie kolana, popatrzyła na Turriego.

W odpowiedzi spojrział na nią z żywym zainteresowaniem, jak naukowiec spogląda na okaz, w którym ujawniła się niezwykła cecha: na przykład na ptaka powtarzającego imię wypowiedziane przez jego właściciela we śnie albo na mysz usiłującą stanąć na tylnych łapkach, albo na rybę rozbłyskującą światłem, gdy słońce chowa się w morzu.

Skrepowana skupioną na sobie uwagą zesza z tłących się resztek maszyny.

— Mam nadzieję, że niczego nie połamałam — powiedziała, ratując się uprzejmością w tej nowej dla siebie sytuacji.

Turri parsknął śmiechem.

Oczy Caroliny się zwięziły. Niezrozumiała śmiech dorosłych zawsze wprawiał ją w złość.

Widząc jej zmienioną twarz, Turri natychmiast się opanował.

— To nie z ciebie się śmieję — powiedział. — Nie miałbym śmiałości. Jeszcze raziłabyś mnie piorunem.

Po tych słowach przykleknął i zaczął zwijać resztki swojego eksperymentu, robiąc tobołek grubości człowieka i niemal takiej samej wysokości. Następnie wstał, podniósł zawiniątko i postawił sztorcem na drodze. Kształtem przypominało ukochanego stracha na wróble, który barwnie upiększony czeka

na pochówek.

Turri miał nieco zdziwioną minę, gdy zobaczył, że Carolina nie ruszyła się z miejsca.

— Czy ja cię znam? — zapytał.

— Mam na imię Carolina — odrzekła.

— Carolina — powtórzył i pochylając głowę z godnością właściwą dorosłemu człowiekowi, który poczuwa się do zobowiązań wobec drugiego człowieka, dodał: — Dziękuję.

Też pochyliła głowę w odpowiedzi.

Gdy się odwrócił, Carolina weszła z powrotem w cień drzew. W niczym niezmażonej ciszy słonecznego popołudnia rozbrzmiewał jedynie chrzęst butów Turriego. Pasek turkusowego jedwabiu wyslizgnał się z tobołka i ciągnął się po drodze, wzbijając smuzkę złocistego pyłu.



Kiedy Turri osiągnął wiek właściwy do ożenku, w powszechnej opinii swoich rówieśniczek uchodził za nieodpowiedniego kandydata na męża. Od lat zadręczał je pytaniami, figlami i wynalazkami. Szerokim echem odbiła się wieść o tym, jak na dużą część dnia uwięził w koronie platana dwie miejscowe piękności, kiedy to podczas próby działania prymitywnej windy na bloczku całe urządzenie spadło pod ciężarem dwóch rosnących młodzieńców, którzy, pomagając Turriemu w przeprowadzeniu eksperymentu, zamierzali pod osłoną listowia cieszyć się towarzystwem owych panien. Dziewczęta opowiadały potem, że ledwie zniosły te męki. Turri gorączkowo starał się wymienić złamane deski i naprawić skrzywiony mechanizm, a tymczasem minęła pora lunchu i panny dostały zawrotów głowy z głodu. Przeżyły tylko dzięki temu, że udało im się złapać dzikie jabłka i zawinięte w chusteczkę czereśnie, które zalotnicy bohatercko rzucili między gałęzie drzewa.

To wydarzenie obrosło legendą, ale Turri miał na sumieniu również wiele mniejszych występków. Na piętnaste urodziny

Loretty Ricci zrobił dziwne czarne świece, które paliły się zielonym płomieniem. Były sensacją wieczoru, dopóki nie zaczęły skwierczeć i strzelać iskrami, od których osmałiły się włosy i sukienki kilku młodych dam, aż zaradna pokojówka zalała płonące knoty ponczem. Turri także nauczył liczyć do stu ptaka contessy Santini, co wprawiło go w taką dumę, że przestał śpiewać. Hrabina, nie mogąc znieść ciągłego wyliczania każdej sekundy swego życia, koniec końców otworzyła szeroko okno i wyrzuciła biedne stworzenie z klatki, skazując na wolność, gdzie, jak wszyscy zgodnie stwierdzili, walory jego umysłu nie ochronią go przed wiatrem i deszczem. Co gorsza, Turri nie miał dostrzegalnych ambicji, a wykwintne maniere, które zachowywał tylko wtedy, gdy tak mu podpowiadała dusza, sprawiały, że jego częste gafy w towarzystwie były tym bardziej niewybaczalne.

Gojące serca dziewcząt potrafią jednak wybaczyć znacznie więcej niż grubiaństwo i choć było ono powodem uwag wypowiedzianych szeptem we własnym gronie lub ze łzami w oczach do swoich rodziców, niechęć do poślubienia Turriego wynikała z setki znacznie błahszych odczuć, wymienianych z trudem po części dlatego, że właściwie były niewarte wzmianki. Czasem, kiedy rozmawiał z dziewczyną, rozbłyskały mu oczy, nie w odpowiedzi na jej czułe wyznanie czy dowcipny sposób wyrażania się, lecz z zaciekawienia kryształem w jej biżuterii albo egzotycznym kwiatem wazonie nieopodal. Często miał obojętną minę, gdy wszyscy wokół wybuchali śmiechem. Najbardziej irytowało jednak to, że nieraz można było sądzić, iż chłonie każde słowo swojej młodej rozmówczyni, ale po zadaniu mu kilku pytań chwilę później okazywało się, że niczego nie słyszał.

Choć najwyraźniej gubił wątek i nie potrafił prowadzić rozmowy w kulturalnym towarzystwie, bywało, że dziewczyna czystym przypadkiem poruszyła interesujący go temat, a wtenczas miała stracony wieczór aż do końca. Turri potrafił zepsuć cały bal, godzinami rozwodząc się o kopalniach soli,

gwiazdozbiorach, obróbce metali czy jaszczurkach z pewnością siebie i nieświadomością dziecka, które uważa, że dla wszystkich ten świat jest równie dziwny i fascynujący jak dla niego.

Rodzice młodego Turriego przejmowali się tym stanem rzeczy, ale nie był to w rodzinie kłopot nowy. Wszyscy wiedzieli, że mężczyźni z rodu Turrich dzielą się na dwie różne grupy. Większość to skrupulatni zarządcy, którzy dzięki roztropnym innowacjom i wyjątkowemu talentowi do liczba sprawili, że rodowe posiadłości należały do najbogatszych w regionie. Ojciec Turriego doskonale reprezentował tę grupę: powszechnie szanowany, mimo widocznej nieśmiałości, wolał osobiście doglądać swoich rozległych upraw zbóż, zamiast pozostawiać ten obowiązek nadzorcom, i to on odpowiadał za unowocześnienie pieczołowicie zaprojektowanego systemu nawadniania, który jego dziad wprowadził w majątku przed półwiekiem, oraz za poszerzenie objętych nim terenów.

Natomiast u mniejszości mężczyzn z rodu Turrich, łatwo zapadającej w pamięć, ów zmysł wynalazczy przyczyniał się do tego, że wyrastali z nich stuprocentowi marzyciele najgorszego kalibru, którzy mieli energię, zasoby i intelekt, by narzucać swoje rojenia reszcie świata. To właśnie ci przodkowie Turriego wycięli tarasy długości czterystu metrów w zboczu wzgórza, na którym stał rodzinny dom, prowadzące aż do rzeki w dole, i to oni w późniejszym pokoleniu zbudowali niezwykle misterny system rozprowadzania wody, jakiego nikt w okolicy jeszcze nie widział, nie na potrzeby upraw, lecz po to, by pociągnąć wodę z rzeki na szczyt wzgórza i pozwolić jej spływać kaskadami po tarasach z powrotem do rzeki. Ci marzyciele zaorywali pola pszenicy, by posadzić szafran lub kauczukowce, trzymali w stajniach konie po sąsiedzku z pawiami i lamami, a nawet namówili jednego z odznaczających się cierpliwością przodków Caroliny, żeby zaszczeplił jabłonie, śliwy i gałązki róż na Bogu ducha winnych drzewkach cytrynowych. Ta przypadłość u młodego Turriego, jedynaka,

ujawniła się z nasileniem wcześniej niespotykanym u przedstawicieli tej linii i okoliczne rodziny wyraźnie to dostrzegały.

W tej sytuacji jego rodzice byli zmuszeni wdać się w targi. Podobnie jak Turri Sophia Conti wywodziła się z dobrego domu, do tego była niewątpliwie ładna. Ale jej matka została kaleką, gdy Sophia była dzieckiem, i nie dało się zaprzeczyć, że dziewczynka dorastała bez nadzoru. Jeszcze zanim rówieśnicy płci męskiej zaczęli zwracać na nią uwagę, wołała towarzystwo panów niż pań, wystawała za krzesłem ojca, gdy toczył z przyjaciółmi spory na temat zalet ulubionych koni albo wykrzykiwał swoje opinie o polityce. Choć ojciec nie zwracał uwagi na jej pieszczoty i dziecinne przemyślenia wypowiedane do niego szeptem, dziewczynka zauważyła, że ładnymi uśmiechami potrafi szybko zaskarbić sobie sympatię mężczyzn, którzy często głaskali ją, kiedy zatrzymywała się obok nich i opierała o kolano. Zanim stała się młodą kobietą, zdążyła już dobrze poznać męski sposób myślenia i umiała nim pokierować. Krążyły pogłoski, że jako zaledwie czternastolatka była powodem zerwania zaręczyn Reginy Mancini, po tym jak rodzina Mancinich nie mogła dłużej przemykać oczu na względy, jakich naręczony Reginy nie szczenił publicznie Sophii. W żaden sposób Sophia nie mogła wyjść z tego skandalu bez szwanku. Poślubienie tego mężczyzny byłoby przyznaniem, że zachęcała go do porzucenia narzeczonej. Odrzucenie jego rozpaczliwych błagań naznaczyło ją jednak, mimo tak młodego wieku, piętnem istoty niebezpiecznej, która nie ma naturalnego u młodej kobiety poszanowania dla świętych więzów małżeńskich.

Nie należy sądzić, że Sophia podejmowała jakiegokolwiek starania, by naprawić złe wrażenie. Jeśli już, to po tym zdarzeniu zyskała jeszcze większą władzę nad mężczyznami. Tłumnie ściągali na jej przyjęcia i rozpychali się pod jej drzwiami, gdy naraz przychodzili złożyć uszanowanie. W dowolnej chwili z pół tuzina kawalerów uważało się za jej ulubieńców i

pokazywało rozmaite drobiazgi na dowód jej przywiązania: chusteczkę z koronką, zgnieciony kwiatek albo czarną wstążkę. Ale opowieści o jej wybrykach były dwakroć liczniejsze. A to że znikwała z mężczyznami na tarasie na dachu albo w garderobie. A to że wylaniała się w ich towarzystwie spośród drzew, mając przekrzywioną biżuterię. Zanim ukończyła siedemnaście lat, otrzymała dziewięć szczerych propozycji małżeństwa, tyle że wszystkie upadły, gdy wzięły je pod rozwagę rodziny rzeczonych kawalerów.

Choć stanowili całkowicie niedobraną parę, Turri i Sophia mogli liczyć tylko na siebie nawzajem, jeśli chcieli znaleźć odpowiednią partię w swoim wąskim kręgu towarzyskim. Był to związek z rozsądku, zawarty nagle: wzięli ślub kilka tygodni po pertraktacjach prowadzonych przez ich ojców, Turri miał dwadzieścia pięć lat, a Sophia dwadzieścia. Gdy niecały rok później urodziła syna, Antonia, powszechnie i niemal otwarcie rozprawiano, czy jest dzieckiem również Turriego.

Mimo to przywiązanie Turriego do Antonia nie budziło wątpliwości. Jeszcze zanim chłopiec nauczył się chodzić, sąsiedzi patrzyli ze zdumieniem, jak Turri niesie go na barana, idąc drogą lub brzegiem rzeki, i z całą powagą przedstawia nowe kierunki myśli teologicznej lub współczesne spory dotyczące gwiazd.

— Chciał przyprowadzić Antonia — zażartowała z goryczą Sophia na przyjęciu rok po narodzinach syna. — Ale na razie nauczył go łaciny, a nie tańca.

Jak można było się spodziewać, gdy Antonio już zaczął mówić, okazało się, że jest dziwnym dzieckiem. Pierwsze wypowiedziane przez niego słowo brzmiało: „granatowiec”, drugie: „teleskop”. Ku rozczarowaniu Sophii „mama” pojawiło się na jego ustach wiele miesięcy później niż „tata”, którym to określeniem nazywał nie tylko Turriego, lecz również nianię, ogrodnika, maształterza i stajennego oraz wielkie stada wron osiadające co jakiś czas murawę wokół willi Turrich.



Carolina miała szesnaście lat, a Turri był żonaty prawie od roku, gdy zimną wiosną o poranku wyszła ze swojej chatki nad jeziorem i zobaczyła go przy brzegu. Był odwrócony do niej tyłem. Nad jego głową kłębiły się mgły, które nocą uniosły się znad powierzchni wody.

Stojąc boso na górnym schodku, Carolina mocno owinęła aksamitną kapę wokół ramion. Drzwi zamknęły się za nią ze stukiem.

Turri się odwrócił. Miał ogień w oczach.

Można było sądzić, że na jej widok się zachwiał. Zrobił kilka niepewnych kroków po mokrej od rosy trawie, ale zaraz odzyskał równowagę i się roześmiał.

— Wyglądałaś jak niedźwiedź — powiedział. — Zamierzałem zdzielić cię w nos tym kamieniem. — Wskazał szary kamyk na brzegu, który wygładziła i porzuciła rzeka.

— Jest dość mały — oznajmiła z powątpiewaniem.

— Niedźwiedź ma niezwykle wrażliwy nos — wyjaśnił Turri. — To jego jedyny słaby punkt. Chwilę później pomyślałem, że pojawił się gigantyczny owad. Na niektórych wyspach południowych występują motyle wielkości orła.

— Przecież mieszkamy we Włoszech — zauważyła.

— Zapomniałem o tym. Zastanawiałem się, jak cię złapać, nie uszkadzając skrzydeł.

— A gdzie trzymałbyś stworzenie tej wielkości?

— W laboratorium — odrzekł bez wahania Turri. — W zawieszonyj u sufitu klatce ze ściankami z moskitiery.

Po zastanowieniu Carolina uznała, że jest jeszcze jedna trudność.

— Co jedzą motyle?

— Ten problem nigdy by nie powstał. Zbudowałbym klatkę, wsadził cię do środka, a ty odwróciłabyś się i zaczęła machać żałośnie skrzydłami. Wtedy wszedłbym na górę, podał ci ramię, żebyś na nim usiadła, zaniósł cię do okna i wypuścił na wolność.